Rok IV. Warszawa-Kraków, dnia 1. lipca 1912. № 58.

PRZEGLĄD KRYTYKI
ARTYSTYCZNEJ I LITERACKIEJ

DWUTYGODNIK

Wychodzi w odstępach czasu 20-dniowych pod kierownictwem
Józefa z Rozprzy Krobickiego.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 125.

PRENUMERATĘ w cenie 1 rb. kwartalnie przyjmują wszystkie księgarnie. Artyści, literaci i wogóle pracownicy na polu oświatowem—płacą połowę. Cena pojedyńczego numeru: 20 kop.
OGŁOSZENIA przyjmuje się z wyłączeniem pośrednictwa biur ogloszeniowych i agentów.

Treść numeru:

* * *

JAN BEŁCIKOWSKI.

Tragedya Postępu w Polsce.

Natchnieniem, duszą, patosem idei Postępu była wiara w naukę i w sztukę, jako w czynniki, które najskuteczniej do rozwiązania kwestyi socyalnej wiodą.

Drogą oświaty, nauki, sztuki—wierzyli postępowcy—usuniemy walkę klasową i nienawiści społeczne.

Kwestya socyalna, oraz najbardziej paląca kwestya wieku, rozwiązaną zostanie i królestwo mędrców zapanuje na ziemi.

Tak pojęty Postęp przeciwstawiał się, właściwie, rewolucyi i religji.

Tak pojęty Postęp XIX wieku różnił się od Postępów innych czasów, np. od Postępu wieku XVII. (Vico).

Idea Postępu—ewolucyi bezkrwawej—miała oszczędzić krwi i mąk ludzkości całej.

Ale oto szły lata za latami, a nauka, właściwie, niczego nie nauczyła, a sztuka, właściwie, niczego nie wyzwoliła.

I dziś, jak przed laty trzystu, powiedzieć można: cały dowcip, cały talent narodu polskiego nie na dobro Rzptej, ale na oszukanie drugiego obrócony.

I dziś, jak przed trzema wiekami, te same błędy i obłędy, ta sama tendencya utrzymania się przy życiu nie mocą własną, lecz cudzą, swoją natomiast—niemocą.

Jak setki obchodów uroczystych ku czci poety-arystokraty nie wywołały żadnego czynu arystokratycznego*), podobnież wogóle olbrzymie fale nauki i sztuki odbijają się o pierś Polaka, nie rumieniąc mu nawet skóry...

Zaiste, smutny widok przeistaczania się fal odwiecznych w bałwany jakieś.

Jakże np. dziką, jak pozbawioną wszelkich śladów nauki i sztuki jest współczesna zemsta narodu polskiego.

Zemsta narodu wielkiego objawia się jakimś czynem wielkim, pozytywnym, twórczym — — my — przez zemstę nie tańczymy, lub nie chodzimy do teatru—lub, ostatecznie, urządzamy demonstracye całkowicie wyzute z charakteru polskości t. zn. pewnej wyższości.

W najszlachetniejszym nawet prądzie naszego życia—w demokracyi — i tam z jakąś siłą fatalną objawia się ten instynkt niechrześcjański, nieszlachetny zwalania znów wszystkiego na chłopa

*) Aczkolwiek nie zapominamy o chwalebnych i obywatelskich czynach pp.: Potockiego, Sobańskiego, Zamojskiego i t. d. jednakże ze stanowiska naszej teoryi czynu zaliczyć ich do czynów arystokratycznych w wielkiem, klasycznem tego słowa znaczeniu nie możemy, ponieważ przez czyn prawdziwie arystokratyczny pojmujemy czyn, dokonany przez wszystkich arystokratów w jednym czasie i w jednym celu. A więc nie ten, który sto tysięcy dał np., ale ten, który sprawił talentem swoim i ludzi znajomością i t. d., iż wszyscy arystokraci sto tysięcy dali, dokonał czynu arystokratycznego.

Ten sam instynkt pańszczyźniany, zmiana jeno dekoracyi i frazesów.

A dzieje natchnienia i myśli? Dziś jak i ongi są istnym szlakiem męczeństwa i nędzy.

Pomimo wprost zdawkowego zdania o naszym indywidualizmie, w żadnym narodzie wyrafinowanie w tępieniu wszelkiej samodzielności duchowej nie objawia się w sposób tak bezlitosny, jak u nas.

Nie dziw więc, że idea Postępu, jako osobliwszego rodzaju wiary w naukę i w sztukę zamiera zwolna.

Ten proces zamierania wiary w Postęp ujawnił się w Warszawie z mocą osobliwszą przed dwoma niespełna laty.

Nazwano go wówczas procesem „odżydowienia“ postępu.

Zgodnie z tradycyą niemocy i niedołęstwa strącono pośpiesznie winę na „kogoś“.

Nie uwzględniano ani na chwilę tej prawdy, iż, dopóki, choć jeden obywatel kraju obowiązku swego wobec sztuki i nauki nie wypełnił, dopóty cała odpowiedzialność za upadek sztuk i nauk na kraj wyłącznie spada.

A przecież takiego ogłupiania, takiego systematycznego niszczenia wszelkich śladów myśli, metody, wykształcenia, jakie się omal nie codziennie święci na łamach najpoczytniejszych organów prasy warszawskiej, nie pamiętają, zdaje się, dzieje kultury polskiej.

Zresztą, czyż przystoi, zaprawdę, ludności, śród której największym popytem cieszą się brudy w rodzaju: „Kobiety bez skazy“, „Liścia Figowego“, ,Kultu Ciała“ i t. p., narzekać wogóle na coś i na kogoś i pełne niewinności i oburzenia udawać ofiary?

Zaiste, raczej dziękować za jakieś nadzwyczajne miłosierdzie boskie gawiedź taka winna, a nie z arogancyą kryminalistów, udawać gniew święty i niewinność dzielnych obrońców cywilizacyi i ludzkości.

Nadomiar złego, awanturnicy, lub poszukiwacze lekkiej sławy, niektórzy pisarze europejscy, od czasu do czasu urządzają iluminacye ognikowe na cześć niby naszą.

Te kpiny wyraźne biorą się u nas za monetę dobrą.

Zapominamy jednak, iż przed stu z górą laty, podczas, gdy Rousseau kadził Polsce, jednocześnie, jak to stwierdza Korzon:

„Europa przypatrywała się obojętnie, bez żadnej protestacyi, rozbiorowi państwa niegdyś znakomitego i szczęśliwego, osądziwszy naród cały za głupio niedołężny i podły. Tak zwani filozofowie ówcześni mieli dlań tylko słowa urągania.

Polska—pisał Raynold—Polska, która we wnętrzu swojem ma tylko naród niewolników, zasługuje na to, aby nazewnątrz znajdowała samych ciemiężców — Polska, w obecnej chwili, jest tem, czem państwa europejskie były dziesięć wieków temu“.

A, gdy dziś, bez zmian wielkich dostrzegamy to samo, niewolnictwo na każdem dostrzegamy polu, nie dziw więc, iż wiara w skuteczność oddziaływania na naturę polską nauki i sztuki zamiera stopniowo.

I tu właśnie, leży Postępu tragedya prawdziwa, tragedyą jest bowiem niemocy absolutnej poczucie.

Dr. LUDWIK FINKEL.

O Uniwersytecie Lwowskim.

(Główna część przemówienia, wygłoszonego na inaugurację uroczystości jubileuszowych uniwersytetu lwowskiego).

Sprowadzeni do Lwowa przy końcu XVI wieku przez jednego z najznakomitszych arcybiskupów lwowskich, Jana Dymitra Solikowskiego, Jezuici na jego życzenie rozpoczęli w rezydencji swojej wykłady teologji moralnej dla kleryków djecezjalnych, które odtąd przetrwały aż do kasaty Towarzystwa, t. j. do r. 1773. Jednocześnie uzyskał arcybiskup od jenerała Aquavivy, autora sławnej *Ratio studiorum*, pozwolenie na założenie we Lwowie kolegjum, które jednak dopiero po śmierci Solikowskiego i po pokonaniu licznych trudności, dzięki troskliwej opiece wielkiego hetmana Stanisława Żółkiewskiego, otwarto r. 1608. W pięć lat później, t. j. r. 1613, były prócz klas gramatykalnych i humaniorów, kompletny kurs filozofji, fizyki, matematyki oraz wykłady teologiczne, rychło uzupełnione teologją polemiczną i scholastyczną — czyli, jakbyśmy dziś powiedzieli, fakultet filozoficzny i teologiczny. Okrągło zatem lat 300 mają we Lwowie siedzibę studja akademickie, brakowało jedynie nazwy akademji i prawa promowania, t. j. udzielania stopni uniwersyteckich.

O to starali się jezuici lwowscy, długo nadaremnie. Podobnie jak w Poznaniu, rozbijały się te zabiegi o przywileje Akademji krakowskiej, poręczone konstytucjami sejmowemi. Dopiero kiedy wskutek wojen kozackich i ugody w Hadziaczu r. 1658 dozwolono kolegjum dyzunickiemu w Kijowie, założonemu przez Piotra Mohiłę, tytułu i praw akademji, i zgodzono się na założenie drugiej akademji ruskiej, „gdzie jej sposobne miejsce będzie upatrzone"; wtedy, po uciszeniu się wieloletnich rozszalałych nad Polską burz, po pokoju oliwskim, postanowiono zawczasu zapobiedz grożącemu w tej stronie wierze katolickiej i kulturze polskiej niebezpieczeństwu. „Interes Kościoła", jak pisał Jan Kazimierz do papieża, „domagał się założenia akademji we Lwowie", a schodził się w tym wypadku zupełnie z polską racją stanu. Król, pragnąc, aby „także w ruskich ziemiech wzniecić należną cześć poważnemu wyznawaniu prawdy i cnoty", „nie pominąć żadnej sposobności rozszerzenia pobożności i nauki w swojem królestwie"—wydał pamiętny i drogi nam dyplom erekcyjny. Okoliczności zatem i, co więcej. idee, które wywołały fundację Akademji lwowskiej, podnoszą ją istotnie „na piedestał wielkiej historycznej doniosłości", posłannictwo zaś, wskazane wtedy przez króla-założyciela tej akademji, pozostało dla niej przez wieki kategorycznym przykazem, najważniejszą potrzebą i rdzenną sprężyną jej bytu.

Wprawdzie nie zaraz mogła Akademja wykonywać nadane sobie prawa. W imię prerogatyw uniwersytetu Jagiellońskiego, któremu sekundowała także Akademja zamojska, zerwała się opozycja, istna burza przeciw najmłodszej siostrzycy. Kolegjum oo. jezuitów po kilku nadaremnych usiłowaniach postanowiło przycichnąć, oczekiwać przychylniejszych czasów. Nauki jednak nietylko szły dalej akademickim torem, lecz rozszerzone przez pierwszego rektora Akademji o. Stanisława Krzykoskiego, męża niepospolitego, pomnożone później kilkakrotnie, dotrwały do zatwierdzenia prawomocnego dyplomu Jana Kazimierza przez króla Augusta III, aprobowanego bullą Papieża Klemensa XIII r. 1759.

W czasach nachylonej coraz bardziej ku upadkowi oświaty, w epoce wewnętrznego bezrządu i zupełnego prawie zaniku nauk, wielka szkoła lwowska mogła jednak zapisać w rocznikach swoich nazwiska uczonych profesorów i wybitnych uczniów, którzy stali się ozdobą literatury ojczystej. Tu wśród wielu innych pracował żarliwy obrońca Unji kościelnej, ks. Teofil Rutka, autor 37-iu dzieł, wydanych w drukarni kolegjum lwowskiego; tu zaczął wydawać wielkie, po dziś ważne, dzieło Kasper Niesiecki „Koronę polską", herbarz, a właściwie dzieje rodzin polskich,

a niedokończony rękopis uzupełnił historjograf kolegjum o. Stanisław Czapliński. Profesor i prefekt ks. Gabryel Rzączyński pierwszy opisał rodzimą przyrodę Polski i Litwy. Faustyn Grodecki skreślił dzieło o sztuce wojennej i architekturze cywilnej, Tomasz Siekierzyński, matematyk, nauczał przez lat 16 i wydał powszechnie używaną w szkołach jezuickich arytmetykę. Jezuita Sebastjan Sierakowski, astronom, ufundował obserwatorjum przy uniwersytecie. Pomijając wielu innych z szczególną chlubą wspomnieć należy ucznia i profesora, lwowianina, Grzegorza Piramowicza, serdecznego przyjaciela Ignacego Potockiego, później z nim pospołu wybitnego działacza komisji edukacyjnej, a jednego z pierwszych w Polsce i Europie pionierów oświaty ludowej. A w poczcie uczniów, o których wiemy na pewno (katalogów bowiem dotychczas nie odszukano) są, prócz zastępu późniejszych dygnitarzy Rzeczypospolitej synowie wielkiego hetmana Stanisława Jabłonowskiego, którego „szkatułą“, jak zapisuje Niesiecki, przebudowano i rozszerzono gmach akademicki, „jeden z najwspanialszych w Polsce“. W r. 1691 witał ojca w auli kolegjum, Jan Stanisław Jabłonowski, późniejszy autor słynnego dzieła „Skrupuł bez skrupułu“, *eximiis animi ingeniique dotibus ornatissimus* — jak zapisano w rocznikach klasztoru — poczem wyjechał na dalsze studja do Paryża z Jerzym Dzieduszyckim, wojewodzicem podolskim, również autorem kilku dzieł. Uczniem lwowskim był książę poetów epoki stanisławowskiej, Ignacy Krasicki, który tu się kształcił do 15-go roku życia, był także Franciszek Karpiński, promowany r. 1759 podczas uroczystości nowej inauguracji uniwersytetu lwowskiego.

Przez lat 15 Akademja lwowska, pomimo ostrej, może bardziej nawet zaciętej niż przed stu laty walki, używała tytułu, pieczęci i praw uniwersytetu.

Ale już o tę właśnie dzielnicę kraju obijały się z blizka przedrozbiorowe rozruchy barskie, aż wreszcie na nią bezpośrednio spadły skutki pierwszej katastrofy rozbiorowej. Zaczem pośrodku wykonywanego na kraju podziału, przypadła kasata Towarzystwa Jezusowego.

Jednakowoż z pełną sumiennością historyczną stwierdzić można, że nawet wśród tak ciężkich przejść dziejowych, cichy bieg nauk w tychże samych salach budynku pojezuickiego we Lwowie, nie doznawał przerwy. Znalazły w nich pomieszczenie *studia academica*, powołane zaraz do życia przez cesarzową Marję Teresę.

Bogate zasoby naukowe akademji jezuickiej: bibljoteka, zbiór mineralogiczny i zbiór przyrządów fizycznych, ogród botaniczny i obserwatorjum astronomiczne służyły dalszym wykładom i nowym profesorom, wśród których znalazło się kilku exjezuitów, byłych profesorów Akademji; w tej samej auli broniono tez doktorskich. Są dowody w archiwum Namiestnictwa, że pierwotnie miano otworzyć tutaj uniwersytet, polecono przesłać nadwornej galicyjskiej kancelarji w Wiedniu przywilej Augusta III-go i bullę Klemensa XIII Później przeznaczono wspaniały gmach pojezuicki na pomieszczenie gubernjum, a cesarz Józef II ufundował uniwersytet w klasztorze potrynitarskim, dokąd przeniesiono zbiory, „z połączenia istniejących już i nowo powstać mających instytutów naukowych“, jak opiewa pierwszy ustęp dyplomu erekcyjnego. Związek jest zatem niewątpliwy i zaprzeczyć się nie da.

Ale i z tą wspaniałomyślną fundacją cesarską pełnego, o czterech wydziałach uniwersytetu, nie skończyły się zmienne losy naszej *Almae Matris*. Przeciwnie: czekały ją jeszcze liczne i trudne przejścia

Uniwersytet Józefiński trwał tylko lat 21. Wśród trudności skarbowych czasu wojen Napoleońskich rząd zwinął r. 1805 uniwersytet we Lwowie, wielu profesorów i zbiory przeniósł do Krakowa, wziętego również w trzecim podziale Polski pod panowanie austrjackie.

We Lwowie pozostało tylko liceum, chociaż to liceum, jak dawniejsze kolegjum jezuickie, nie wiele różniło się od Akademji, otrzymało bowiem rychło prawo promowania na doktorów teologji i filozofji, używało odznak akademickich.

Wskutek kilkakrotnych głębokich zmian politycznych, po odzyskaniu Krakowa dla Księstwa Warszawskiego, a następnie po wyodrębnieniu go, jako Rzeczypospolitej krakowskiej na kongresie wiedeńskim, gdy poza obrębem Austrji stawały trzy wielkie wszechnice polskie: w Krakowie, Warszawie i Wilnie, cesarz Franciszek I-szy, przeświadczony o potrzebie przywrócenia wszechnicy również i pod berłem Habsburskiem, wznowił r. 1817 uniwersytet we Lwowie o trzech wydziałach,

a nie wiążąc go wcale z poprzednią fundacją Józefińską, dał mu nazwę: „Królewskiego uniwersytetu Franciszka I-go".

Odtąd, od owej pamiętnej chwili, dobiega już prawie całe stulecie. Losy naszego uniwersytetu splotły się nierozerwalnie z historją kraju i przedstawiają jakby w odbiciu niedolę i dolę narodu w tej części dawnej Rzeczypospolitej.

Naprzód — niedola, ciężka, pół wieku z górą trwająca, rozdzielona krwawą łuną r. 1848, obudzonemi nadziejami i katastrofą, której uległ także stary budynek uniwersytetu. Nauka w języku niemieckim, katedry w rękach przeważnie obcych, często nieżyczliwych, a co najmniej obojętnych dla młodzieży, wielki warsztat produkcji zawodowej bez wyższych aspiracji naukowych. Ale przyznać należy, że były wyjątki, które chlubnie zapisały się na kartach dziejów tego uniwersytetu: Wybitny matematyk Leopold Schulz von Strasznicki; cywiliści: Józef Winiwarter, Ignacy Grassl, Maurycy Stubenrauch, znakomity kryminalista, chociaż nasz wróg, Edward Herbst, historyk Zeisberg, autor niepospolitego dzieła o średniowiecznej historjografji polskiej, któremu dał za motto: *Ne frustra panem polonicum manducarem.* Te słowa możnaby położyć na żywotach jeszcze kilkunastu niemieckich profesorów, ale większość ich stała zdala od społeczeństwa, nie dawała mu tego, co i w nauce jest wielkiej doniosłości, apostolskiej pracy, miłości i poświęcenia.

Zaprzeczyć się również nie da, że z twardej, systematycznej szkoły niemieckiej wyszedł zastęp ludzi gruntownie wykształconych, zahartowanych do walki z przeciwnościami, narodowi dobrze zasłużonych: Wacław Zaleski, pierwszy namiestnik polak, przedtem uczeń a chwilowo adjunkt, t. j. docent uniwersytetu, Franciszek Smolka, Albin i Juljan Dunajewscy, doktór praw lwowskiego uniwersytetu Agenor hr. Gołuchowski, Florjan Ziemiałkowski, Mikołaj Zyblikiewicz, August Bielowski, Maurycy Kabat i tylu innych, późniejszych profesorów polskiego już uniwersytetu

Nawet w epoce niemieckiej zdołali niekiedy zdolnościami i nauką wybitni nasi uczeni zdobyć w t. zw. konkursach katedry uniwersyteckie: Franciszek Stroński, jedna z najpiękniejszych postaci z przed r. 1848, profesor filozofji w latach 1834—1836, późniejszy bibljotekarz; Józefat Zielonacki i Juljan Dunajewski, a przed innymi Antoni Małecki na katedrze języka i literatury polskiej (istniejącej od r. 1826 w naszym uniwersytecie) czcigodny i ukochany profesor, wielka chwała naszej *Almae Matris*, żywy i najwiarogodniejszy świadek, że zanim otrzymaliśmy polski uniwersytet, mieliśmy siły naukowe, które zastąpiły godnie profesorów niemieckiego uniwersytetu.

Niechże mi też wolno będzie w tej uroczystej chwili wspomnieć imiona wielce zasłużonych około pierwszych podwalin polskiej wszechnicy, dziś już nieżyjących profesorów: Euzebjusza Czerkawskiego, Ksawerego Liskiego, Edwarda Rittnera, Leonarda, Piętaka, i oddać cześć ich pamięci.

Pod ożywczem tchnieniem narodowej myśli rozwinął, rozrósł się, spotężniał nasz uniwersytet: liczba docentów powiększyła się od owego czasu więcej, niż trzykrotnie, liczba słuchaczy zaś pięciokrotnie; powstały i wzbogaciły się instytuty i zbiory, nagromadzone pracą kilku pokoleń, w laboratorjach i seminarjach zawrzało życie rojne i plenne: rokrocznie wychodzi z nich zastęp ludzi, przysposobionych do poważnej pracy naukowej. Kronika uniwersytetu za ostatnich lat dwanaście, która właśnie wyszła z druku, składa dokładny rachunek z tej działalności.

Nie naszą rzeczą oceniać ją lub chociażby oświetlać. Ale zapewnić możemy, że mamy pełną świadomość wielkiego zadania i wielkiej odpowiedzialności, która ciąży na obu, jedynych dziś polskich wszechnicach. Muszą one wysiłkiem własnym zastąpić kwitnące jeszcze w zeszłym wieku szkoły i ogniska naukowe na ziemiach polskich, muszą ogarnąć i przygarnąć całą szerz życia naukowego narodu!

Otrzymaliśmy w pełnym składzie uniwersytet dzisiejszy z łaski najsprawiedliwszego monarchy, który w r. 1871 dozwolił rozwijać się umiejętnościom na uniwersytecie naszym w obu językach krajowych, a ruska nauka znalazła tu swoich przedstawicieli, że wspomnę tylko obu braci Ogonowskich i Izydora Szaraniewicza. W osiem lat później w miejsce języka niemieckiego wprowadził język polski, jako urzędowy. Koroną wielkiego jego dzieła jest uzupełnienie naszej wszechnicy wydziałem lekarskim.

Nobis restituit rem—przywrócił narodowemu dobru dawną jego świątynię nauki, podał dobroczynną rękę, dźwigającemu się po wiekowej niedoli krajowi.

Za długoletniego, błogosławionego jego panowania nauka uniwersytecka zdobyła sobie poważne stanowisko; państwo otoczyło opieką uniwersytety, a pozostawiło im swobodny, bezstronny rozwój.
Wielkoduszny monarcha uznał zaraz w pierwiastkach rządów zasadę, że nauki są dźwignią nietylko dobrobytu ludów, lecz również potęgi państwa i tej zasadzie pozostał wierny. Uznał również, że każdy naród ma prawo kształcić się i rozwijać w ojczystej mowie, czerpać siły intelektualne z własnych zasobów, z własnego ducha.
Za te wielkie i rzadkie cnoty, które stały się dla nas dobrem narodowem, za czyny, których nie wzruszy ręka czasu, złóżmy hołd powinny i zawołajmy ze szczerego serca: Najmiłościwszy cesarz nasz i król Franciszek Józef I-szy niech żyie!"

LEON CHOROMAŃSKI.

Bolesław Prus.

(Dokończenie).

Prus wyczuł sercem troskę i obawę społeczną i dał odpowiedź zgodną zarówno ze swą własną naturą, jak z naturą ogółu, dla którego optymizm jest jedynem powietrzem możliwem.

Prócz czaru poetyckiego i prawdy w oddaniu życia chłopa, jakiż czar głębszy wiał od tego dzieła z poczucia nieuświadamianego nieraz w całej pełni, lecz budzącego zachwyt i wdzięczność, że oto ogół posiada w Prusie centrum czuciowo-myślowe, gdzie problematy społeczne bywają rozstrzygane według tajnych pragnień, właściwych charakterowi narodowemu Działacz Wokulski ginie wprawdzie, lecz dlatego, że jest naturą przejściową: od Polaka pełnego tęsknot i rozmarzeń dawniejszego okresu do Polaka przyszłości demokratycznej, w którym wszystko będzie rzetelne, tęgie i energiczne. Nie jest to pesymizm, lecz wskazówka, jakie cechy charakteru należy krzewić, a jakie wypleniać. Okres wzmożonej tendencji w sztuce ma zawsze na celu wychować pewien typ społeczny, który się uznaje w danej epoce za pożądany. Lecz wychowawcy i protektorzy wychodzą z bardzo zarozumiałego i błędnego stanowiska: wydaje im się, że człowiek jako *genus* jest im dokładnie znany, że jest to ogródek, w którym wiadomo, co skazać na wyplenienie, a które ziółka podlewać. Jeżeli śladów takiego ideowego ograniczenia w utworach Prusa nie widać dla przeciętnego oka, nie znaczy to jednak, aby ich nie można było się domyślać. Zostawił on niejedną stronicę piękną nie tylko ze stanowiska tendencyjnego, lecz jako dokument psychologiczny i wytwór poetycki, przyczem jednak jego osobiste, skromne mniemanie o sztuce, jako przedewszystkiem o jednym z czynników natychmiastowego oddziaływania, szkodziło mu. Jego powieści pisane z feljetonu na feljeton (np. „Emancypantki") i nieraz widocznie pod wrażeniem wypadków dnia, doskonałe w epizodach, w całości były rozciągnięte, bez harmonji konstrukcyjnej. Prus tak mało cenił swój artyzm, że dla spraw drobniejszych, które wydawały mu się społecznie ważne, odkładał z roku na rok napisanie kilku powieści, które ostatecznie nie zostały wcale napisane.

Ta walka między pisarzem-artystą a publicystą trwała w Prusie przez cały ciąg jego życia i nigdy artysta nie odniósł ostatecznego zwycięstwa W ostatniej swej powieści „Dzieciach" patrzy Prus na wypadki niedawnych lat rewolucyjnych ze

stanowiska chwili bieżącej i tych korzyści czy strat, które natychmiast dają się odczuwać. Tymczasem traktowanie tego tematu, wymaga ze stanowiska sztuki — odległości, widzenia perspektywicznego, przy którem występuje na jaw całość zjawiska i jego związek z innemi zjawiskami, podczas gdy przy takiem blizkiem rozpatrywaniu rzucają się w oczy tylko szeregi okropnych a bezładnych szczegółów. Tu właśnie w „Dzieciach“ Prus artysta pokonany został przez Prusa publicystę, który na wszystko musi dać natychmiastową odpowiedź pedagogiczną.

Jednem z najdoskonalszych dzieł Prusa jest jego powieść „Faraon“. Tu Prus opuścił palący mu się pod nogami grunt polski i roztoczył opowieść z dziejów starożytnego Egiptu, w której dał ujście swej umiejętności patrzenia na ścierające się z sobą grupy społeczne, jako na konflikt sił dążących do władzy. Zwycięża grupa najlepiej zorganizowana — kapłani. Lecz nawet zwycięzcy uledz muszą przemocy siły moralnej, pozostałej po zwyciężonych. Co do piękności artystycznej tego utworu, to tkwi ona przedewszystkiem w niewymuszonej prostocie stylu, w lekkiej przejrzystości szczegółów i w pewności rysunku charakterów.

KAZIMIERZ WROCZYNSKI.

Zygmunt Zenon Idzikowski.

Salve atque vale—przedziwnie piękny, rytmiczny, powitalny a pożegnalny zarazem gest beardsley'owskiego antycznego efeba — — — z niewidzialnej łodzi, z rozlewisk jeziorowych wypłynął melodji kłąb, po toniach się rozlał, pluskiem nawrotnej fali odbił o wybrzeża i w smutku gasnącego dnia zapadł...

W takim geście stężały poezje młodego, a zmarłego już liryka Zygmunta Zenona Idzikowskiego, taką melodją falują utwory tego „najmłodszego“ zebrane w ostatnim tomie „Sztuki“. Zgasły nie dawał się poznać za życia, drukował niewiele, „gardząc społeczną zapłatą“, urywczo i to utwory, które w drodze swej twórczości jakby zgubić pragnął, cenne — chował. I teraz dopiero po opublikowaniu puścizny widzimy, że zubożała w swych przedstawicielach najmłodszych liryka polska utraciła nie rwącego się do ikarowych lotów poetyzującego młodzieńca, lecz talent rozkwitający, bujnej plenności zapowiedź, artystę zmierzającego do swych celów z całą świadomością, z pełnią własnych środków. Idzikowski już odkrył był swoją ku szczytom drogę, już szedł po niej wchłaniając oczyma roztaczające się wokół obszary, już wtapiał się we własne, bo przez siebie odkryte światy, już barwy z nich idące przełamywał w pryzmacie swej osobowości, skupiał, kandensował, tonował i rozszczepiał, już coraz pełniejsze naręcze kwiatów i cierni przy piersiach jego ciężało.

Talent w głębi refleksyjny pozorną spontanicznością się ujawniał, lecz te zawroty nagłe, te staczania się wzroku po zboczach, nie o szamotaniach świadczą, lecz o tematów przenikaniu,—a są to odkrycia wieńczące usilne poszukiwania. Co cenniejsze jeszcze i ciekawsze mądrością doświadczenia w tym liryku młodym: nieraz choć okiem odkrył pejzaż, prześlizgiwał się po nim spojrzeniem jednego słowa, by snadź w zagłębianiu się poprzez nowy kraj, w darciu się przez gąszcz, lub w skokach po głazach nie uronić w drodze rzeczy celu pierwszego.

Pośród słów wybieraj ostrożnie
albo raczej nieć błyskawicę —
i tylko zdala
wsłuchuj się w melodję zdań.
Niech cię nie dotyka —
jak listki brzóz —
niechaj jak kamień rysą cię nie porżnie —

W fragmencie tym prócz skonstatowania słów uwagi powyższej nazwał poeta pewną typową, swoistą sobie cechę: „melodję zdań“. Dziwną bo, nieuchwytną określeniem melodję wytwarzają u Idzikowskiego niespodziewanych określeń, słów-syntez zestawienia, szeregi jednym tonem przesyconych wyrazów znagła rymem rozdźwięczone, dziwną, powietrznie lotną muzyką tchną. Błąkają się wprawdzie dalekie echa Słowackiego w utworach, westchnienia jakby maeterlinck'owskie, czerwień mombert'owych płomieni, lecz te atawizmy toną w obfitych zasobach własnej indywidualności poety.

Nie mów — że kochasz — — Mów: złorzeczę
i wielbię — — przeklinam i pragnę — —
Patrz — świt jezioro zasiekł mieczem —
a oto ślizga się i bagnem — —

Romantyczny temat przez mocne, antytezowe zestawienie rozwiązał się głębokim obrazowym akordem własnym, więcej, bo akompanjamentowe podłoże — rymy asonancą przeplatane skąpały całość w jedną zasadniczą, a własną poety harmonję.

Twórczość Idzikowskiego znamionuje jeszcze jedna cecha cenna niezmiernie dla każdego artysty, cecha rozszerzająca widnokręgi, budząca światy zamarłe, wskrzeszająca poszumy odbiegłe. Mówię o t. zw. zmyśle historycznym. Konsystencjom artystycznym *dzisiejszym* zawsze mściwie zagraża ów brak, a najpiękniejsze żywe posągi tęsknią do fałd purpury antycznej. Tym szczęśliwszym jest twórca im piękniej i płomienniej purpurę tę z mroków przeszłych wyczarować i na tors dzisiejszego swego dzieła zarzucić potrafi. Autor „Dziewięciornika“, „Pieśni Leandra“, „Hero w żałości“, „Atene“ własnemi rzuty w antyczne się zagłębiać tonie umiał, więcej bo i średniowiecza echo budzić baśniowe. Błąka się ono w „Śnie księżniczki Moreny“ i „Królewicu Maju“.

Podłoże liryzmu Idzikowskiego to-ten typowy smutek twórców, ludzi „którym zawsze zimno“, którym świty dnia życiowego gaszą marzenia własnych nocy. Smutek ten w poecie potęguje jeszcze słowiańska tęsknota.

Trudno tu precyzyjnie analizować, lub wymierzać ściśle wszystkie koordynaty talentu. Na zakończenie przytaczam jeden z najpiękniejszych kwiatów liryki zmarłego p. t. Gobelin III. Niech zapach jego obudzi echa melodji odbiegłych nazawsze.

Cichy kropel płacz
w podeszczowy wieczór — —
na tarasie zamkowym stanęło jezioro —
szyba nieruchoma —
ale nikt się nie przejrzał w ten wieczór — — —
gwiazd puhary stąd odbicie biorą —
ale nikt się nie przejrzał w ten wieczór — — —

O ty głazie tarasowy znacz —
że tu głębia niebios jest widoma —
ale nikt się nie przejrzał w ten wieczór — — —

Ślepy wieje z oddalenia chłód —
z parkowego — czarnego jeziora —
zimny całunek daje — —
kto cię tak całował wczora —
kto będzie kłamał w rozkochaniu?
Od zamkowych — rozchylonych wrót
nienawistne idą twe lokaje:
każdy szybę zmącił — butem zgniótł — —
Melancholja — mistrzu — w panowaniu — —

PRZEDRUKI LUŹNYCH ZDAŃ.

BEZ KOMENTARZY.

W najnowszej swojej powieści p. t. „*Panicz*“ — pisze **Helena Mniszek**:

Po dziewiętnastu pierwszych kartkach tekstu, czyli na str. 44-ej i 45-ej:

„Denhoff w angielskim „rajtroku“ z pejczem jak cacko, sam rozkoszował się swoją postawą i klasyczną jazdą. Pomimo nieprzychylnych krytyk podziwiano go, tylko nie wszyscy się do tego przyznawali.
Panny były najszczersze, głośno wyrażały swe zachwyty nad elegancją i wykwintnością Ryszarda. Określenie „panicz“ utarło się powszechnie,“

Po dziewiętnastu dalszych kartkach, czyli na str. 85-ej i 86-ej:

„A Gustaw Korzycki zrobił minę dowcipną i rzekł z uśmiechem:
— To się zgadza z mojem twierdzeniem, że niema kobiety którejby nie można było zdobyć. Każdą, bez kwestji każdą, tylko różnemi sposobami.
— No, przecie Konstanty wziął Tulicką nie na erotykę chyba?
Wybuchnął śmiech.
— Eh! Ja mówię ogólnie; kobiety to łatwy towar do nabycia, trzeba tylko znać sposoby na różne gatunki, tańsze i droższe, ale dekatyzuje się każda. -
— Cóż za określenie bławatno kupieckie? Skąd pan doszedł do podobnych wniosków? — zagadnął Turski.
— Praktyka panie Marjanie. Miałem i mam w życiu różne okazje i różne kobietki, a umiem... dekatyzować; to moje wyrażenie Każdą ż pań wezmę gdy zechcę, o zakład
Nastała cisza wywołana niesmakiem z powodu przechwałek Gutka. Turski szepnął nawet do siebie:
— Osioł!
Ale Miecio Korzycki palnął na głos:
— Chwalisz się, a pewno już nieraz dostałeś w pysk od kobiet zamiast dekatyzowania.
— Tu es sot, mon cher frère! jeszcze ani razu nie chybiłem. Kobiety to zwierzyna do której umiejętny myśliwy zawsze trafi. Myślicie, że naprzykład pani Ama...
— To nie jest dowodem; do pani Amy nie trzeba polityki, z nią dochodzi się łatwo do porozumienia—rzekł Perzyński.
— Panie Marjanie, słyszy pan?—spytał cicho Paszowski.
Ale Turski nie okazał gniewu, ani zdziwienia.
Ja się również nie wysilałem przy zdobywaniu jej, więc nie mogę zaprzeczać.

Po dziewiętnastu dalszych, czyli na str. 123-ej:

„Denhoff spojrzał z rozczuleniem na mały panieński pierścionek złoty z turkusową niezapominajką, świecący na jego małym palcu. Ona mu go wczoraj dała, ale do czasu chcą zachować tajemnicę, pragną zaręczyć się dopiero wówczas, gdy Dora powróci do rodziców swych; tu niechcą rozgłaszania. Jak ona ślicznie powiedziała wczoraj: „my już jesteśmy swoi, ale niech się o tem dowie pierwsza mamunia, niech ona pobłogosławi nas.
Denhoff zadrżał z nadmiaru uczuć."

Po dziewiętnastu dalszych, czyli na str. 159-ej:

— Czasem i zwykła łojówka myśli że dorówna słońcu — rzekła Ira. Najlepiej wówczas dać jej swobodę, niech się do słońca pnie, owszem. Najciekawsze rezultaty. Jak stopnieje z wysiłku i zobaczy, że słońce jak świeciło tak świeci, a ona jest tylko łojem, to już więcej takich prób robić nie będzie.
— Dobrze. Ale gdyby nie istniała zarozumiałość, z czego by wyszła walka o byt? — podchwycił Bolesław."

Po dziewiętnastu dalszych, czyli na str. 196-ej:

„Zapał patryjotyczny udzielił się i jemu. Ale w tem zobaczył przed sobą wdzięczną postać panny Korzyckiej i... zmatowiał."

Po dziewiętnastu dalszych, czyli na str. 233-ej i 234-ej:

„ślub postanowimy prędko.
— Ślub? Co znowu?!
— A poco mamy czekać?
— Przecie jeszcze nie jesteśmy formalnie zaręczeni nawet. Skądże zaraz ślub? Mamunia się na to nigdy nie zgodzi.
— Jeśli jednak ja zażądam...
Dorcia oblała się purpurą.
— To zależy od mamuni i.... odemnie, wcale nie od pana—zawołała z niebywałem u niej wzburzeniem i szybko odeszła obrażona, dumna i szlachetna w ruchach."

Po dziewiętnastu dalszych, czyli na str. 273-ej:

„Dora była mu nietylko upragnioną dziewczyną lecz i jego aniołem. Przesiąkał jej słodyczą, czcił jak bóstwo. Nie wytrwał jednak długo w tem zbawiennem dla siebie przeistoczeniu. Nadlatywał doń swawolny powiew z innego świata, czasem ostry i zły, złością demoniczną, czasem upalny, jak samum z pustyń arabskich; duszny wicher żądz, dalekich od wszelkiej anielskości."

Po dziewiętnastu dalszych, czyli na str. 311-ej, 312-ej i 313-ej:

„Denhoff widząc ich ciągle razem, zapatrzonych w siebie, rzekł do Iry.
— Że też to ludzie tacy są naiwni! kochają się, zaręczają, a potem...
— Potem żałują Tak?
— No, zaraz żałują! Ale się kłócą... zrywają. Osinowski już uwolniony od tego szablonu.
— Jakto, więc oświadczył się Ani?
Denhoff opowiedział wszystko co zaszło w Olchowie, nawet nie pominął i własnej sprzeczki z Dorą.
— Żal mi Bolesława, lecz Ania postąpiła bardzo ładnie, tak nakazuje prawość—rzekła Ira.
— A co się tu święci?—Denhoff wskazał na Rymszę i Ziulę.
— Ach ci! Ano kochają się chyba poważnie? co zaś z tego wyniknie...
— Ja wiem co! Miłe złego początki, lecz koniec żałosny. Już to przepowiadałem w Olchowie. Cóż mówi pan Kocio — Antynous?... Nie przeczuwa, co mu grozi?
— Mówi, że pan Stanisław to tylko fikcja, treścią zaś dla Ziuli jest — on. W dodatku Tulicka psuje Kocia stale i pewno utwierdza w tych jego mniemaniach.

— A panna Ziula co na to?...
Ira wskazała znowu na parę przy fortepianie.
— Niech to będzie dla pana odpowiedzią.
Denhoff spojrzał i zdziwił się. Czy to ta sama wesoła, szczebiotliwa Ziula, zajęta namiętnie fotografją i kodakiem, o twarzy ruchliwej i swobodzie w oczach? Teraz oblicze dziewczyny było zamyślone, pełne rozmarzenia w każdym zda się nerwie. Oczy nasiąkły rzewną tęsknotą, jakimś osobliwym śpiewem duszy. Coś melodyjnego, coś z zachwytów nieziemskich tchnęło w całej postaci Ziuli, zasłuchanej w słodki rytm grającej w sercu miłości. Rymsza wyglądał, jakby w jasnowidzeniu miał przed sobą anioła.
Denhoff wzruszył ramionami.
— Skandal! Co też ta miłość z ludźmi wyprawia! Widziała pani coś podobnego?—mówił do Ireny.—Toż oni są niby w anielskich piórach. Toż ci ludzie znają się zaledwo od paru miesięcy.
— Pan i Dora wyglądaliście tak samo, albo może i... silniej, po paru tygodniach znajomości; to było jeszcze dziwniejsze."

Po dziewiętnastu dalszych, czyli na str. 19-ej tomu II-ego:

„Panno Ziulo droga, czy ta pieśń odśpiewana, ta wielka pieśń, nie będzie dla nas hymnem narzeczeńskim?..."

Po dziewiętnastu dalszych, czyli na str. 57-ej:

„Wodę wazyć, woda będzie!"

Po dziewiętnastu dalszych, czyli na str. 95-ej:

„Załuję, że już dla mnie miejsca brak, chyba które z państwa weźmie mię na kolana
Pani Lubocka trzepnęła go chusteczką po ręku, ale bez wielkiej obrazy.
— Czy on to ma uważać za zachętę, czy przeciwnie?—spytał Maryś.
— Niech pan już idzie sobie do owych okazów żeńskich, za kulisy, — zawołała piękna Ama.
— Rozumiem! Nie jestem na dziś w programie. Tsss! idę zatem szukać lepszych sukcesów, może mój dzień powróci."

Po dziewiętnastu dalszych, na str. 133-ej i 134 ej:

„— Tak, Turski kocha pannę Marylę szalenie, że zaś ona zaręczyła się z tym baronem, jakże on się nazywa.
— Eee... Poszyngieh. Małpa Poszyngieh, oui.
Paszowski spojrzał zdumiony.
— A to panie, ładny epitet dostał! Ha, ha! To hrabia go nie lubi widocznie. Hę?!
— Eee... pahdon, pahdon! Ja go nie ciehpię i Mahyla też. Ona kocha pana Mahjana, pahole d'honneuh, Ma foi!
— Więc pocóż się zaręczała?
— Eee.. te... te, to jakaś inthyga, może tej samej madame Amy? Ja hęczę że to inthyga."

Po dziewiętnastu dalszych, czyli na str. 171-ej:

„Podpisała tylko imieniem, tak miękko, Maryla. Marylo moja!
Porwało go szalone uniesienie, przycisnął bilet do ust, wyobraźnia nasunęła mu aż do obłędu upajającą wizję."

Po dziewiętnastu dalszych, czyli na str. 209-ej:

„Głosował za tygodniowemi festynami, dowodząc, że wesele jednodniowe to tylko parodja "

Po dziewiętnastu dalszych, czyli na str. 247-ej:

„— A my z panią, panno Ireno, co nas łączy?
— Nas?.. To co innego, myśmy się nigdy nie zaręczali i uczuć odmiennych niż przyjaźń pomiędzy nami nie było.

— I z Dorą już one nie powrócą, chyba... kiedyś... z czasem.
— A widzi pan.
— Ale pani zachowa dla mnie zawsze przyjaźń i uczucie siostry dla brata, czy tak?
— Niech pan wierzy, nie zmienię się nigdy."

Po dziewiętnastu dalszych, czyli na str. 285-ej:

„Ziula prosiła aby był na jej ślubie i tego nie obiecywał, mówiąc, że im prędzej pożegna ukochane miejsca, tem łatwiej otrząśnie się z marzeń i wspomnień,"

WZMIANKI KRONIKARSKIE

× (*ik.*) Na scenie teatru Letniego znowu *przypomniał* nam p. **K. Kamiński** „komedję" Karlweissa „Bogaty wujaszek", więc niech i nam wolno będzie *przypomnieć* p. Kamińskiemu co pisaliśmy już po pierwszem przedstawieniu tej sztuki— przed ośmiu laty:

„Doprawdy podziwiać tych wszystkich, którzy na przedstawieniu „komedji" Karlweissa „Bogaty wujaszek" potrafią dosiedzieć do końca aktu ostatniego, który zresztą kończy się na tem, od czego rozpoczął się akt pierwszy, drugi, trzeci, albo czwarty, t. j. że idjota Waldhof potrzebuje pieniędzy..

Czy nawet talent aktorski Kamińskiego poza pierwszym aktem komedji Karlweissa stwarza jaki nowy szczegół dość interesujący?

Chyba nie?

A sama sztuka?

Czy znacie sztuczydło monotonniejsze, nudniejsze w swej rozwlekłości niescenicznej, płytsze i mniej dowcipne w powierzchownym rysunku poszczególnych postaci, naiwniejsze w swej „*Gemüthlichkeit*" bezbarwnej?

Czy jest w tej sztuce choćby jeden moment psychologiczny, choćby jedna scena dramatyczna, albo sytuacya szczerze komiczna?

Sztuka „przedstawia" bandę aferzystów, „hochstaplerów" pospolitych w pogoni za groszem, który chcą zdobyć kosztem sumienia i uczciwości.

Ale czyż ludzie ci mają sumienie? Autor ukazał nam ich wtedy dopiero gdy już sumienie stracili.

Więc niema w sztuce Karlweissa ani kataklizmów życiowych, ani walki wewnętrznej, ale jest zato rozmowa banalna o bogatym wujaszku, o dobrym koniaku, o szewcu głupim, który chce, aby mu płacono gotówką za lakierki nowe...

Przez całe cztery, przeraźliwie długie akty tej sztuki autor studjuje ludzi z ironją jakby zawistną jakiegoś conajmniej lokaja, albo kelnera wiedeńskiego.

Jest wprawdzie w sztuce jeden typ idjoty klasycznego, ale tak nieciekawy i nieskomplikowany, że można go było określić scenicznie dwoma słowami, dosłownie *dwoma gestami* charakterystyki płytkiej, powierzchownej pierwszego lepszego paryasa aktorskiego.

Męczarnią więc było przedewszystkiem dla wykonawców to wypowiadanie i powtarzanie ciągle tych samych słów i efektów pustych i nic nie mówiących.

A p. Kamiński o ile doskonałym był w akcie pierwszym o tyle już w następnych aktach męczył nas niemiłosiernie jednostajnością tonu i nasilenia... tak, że wogóle szkoda było czasu na wystawianie tej tandety „Bogatego wujaszka" z przed stu laty.. "

DOROCZNE ZAWIADOMIENIE.

Administracja przypomina, że, zgodnie z planem wydawniczym pisma, „Przegląd Krytyki" w ciągu miesiąca sierpnia nie wychodzi wcale. Na cały ten okres czasu właściciel i kierownik pisma wyjeżdża zagranicę.

W NAWIASIE.

EWA.

W mych skroniach bije krew
Coraz goręcej...
A wokół mnie tak cicho gaśnie życie,
Że choćby lekki wiew
Nie targnie chmurą na błękicie.

I ani żaden szmer
Nie ozwie się w gęstwinie drzew,
Ni żaden się nie wzniesie głos
Wskroś górnych sfer,
Gdzie umilkł chór ptaszęcy...

I tak mi wszystko wkrąg zamiera,
Jakgdyby los
Utopił życia ster
W tej ciszy,
Co taką pustką zionie dookoła...

A we mnie krzyczy jakiś ból,
Którego nikt nie słyszy,
A mnie pożera jakiś głód,
Mistycznych złud
I o ratunek woła!

Zaostrzam wzrok, wytężam słuch
W najdalsze strony
Milczących pól —
I oto jawi mi się dobry duch
Tęskniony...

I z martwych krzewów uroczyska
Kwitnący czyni sad,
I na pastwiska śpiących łąk
Słoneczny rzuca krąg
Malachitowy...

I wnet mi cały świat
Odjaśnia i odmienia
Melodya jakaś wiary nowej,
Co szepce mi, że ziszczę
Marzenia mego sen bajkowy...

I już... już wabi mnie swych szat
Szelestem na murawie
Czarowne tęsknot mych bożyszcze,
Jedyna z ziemskich złud —
Ziszczona!

I staje przy mnie taka blizka,
Że tylko chwycić ją w ramiona —
Dziewczyna, istny cud
Na jawie,
Ach, istny cud!

Skąpana w blaskach zorzy porankowej,
Spowita w kwiatów woń —
Rozchyla ust różanych pąk
I dzwoni uśmiech swój,
I błogosławi!

Więc mówię do niej: „Dzwoń mi, dzwoń
Rozkoszne czary swe,
Bo jeśli zejdziesz z moich dróg,
To już mnie nawet Bóg
Nie zbawi!“

A wraz i wszystko wokół mnie
Zachwytem wzbiera, niby zdrój,
Co płynie, gra i śpiewa
Już tylko imię jej,
Jej imię: Ewa... Ewa!

Józef Krobicki.

RUBNIT.

Niedawno donosiliśmy na tem miejscu o nowym wynalazku pod nazwą „Rubnit“, który zrobił przewrót w praniu bielizny, zredukowawszy takowe do prostego 15 minutowego gotowania. Dzisiaj Rubnit jest już artykułem powszechnie znanym i powszechnie używanym — tak w Warszawie jak i na prowincji.

Właściciel firmy „The Washall Manufacturing Co“, dobrze u nas znany przemysłowiec, p. W. Matyjewicz, nie rzadko otrzymuje od wdzięcznych gospodyń słowa szczerej podzięki za wprowadzenie tak doniosłego w gospodarstwie domowem wynalazku, a my — żądania o dalsze informacje. Lecz jednocześnie robiono nam zarzut, że nie umieściliśmy dokładnego sposobu użycia Rubnitu. Artykuły dziennikarskie informują tylko o nowej użytecznej rzeczy; a szczegółów o sposobie użycia można zasięgnąć u źródła, w danym wypadku w specjalnym sklepie z Rubnitem w Warszawie przy ulicy Nowy Świat № 60 gdzie w celu zaznajomienia publiczności odbywają się codziennie od 5—7 (w niedziele od 2 -5) po poł. pokazowe prania, lub w głównym składzie: W. Matyjewicz, Grzybowska № 37.

Chcemy jednak w części uczynić zadość owemu żądaniu naszych czytelników i dzielimy się naszemi spostrzeżeniami, wyjaśniającemi ważny szczegół użycia Rubnitu.

Otóż Rubnit sam bez mydła nie działa, a włożony do zimnej wody, przez długie pozostawanie w takowej, aż do zagotowania się, psuje się. Trzeba co do tego ściśle się stosować do przepisu, mianowicie: najpierw zagotować wodę ze zwyczajnem mydłem (1 funt mydła na 12 garncy wody) i dopiero, jak woda się zagotowała i mydło się rozpuściło, włożyć do tych wrzących mydlin odpowiednią ilość Rubnitu (jedną cegiełkę na 12 garncy mydlin, pół cegiełki na 6 garncy i t. d.).

Wogóle stosowanie Rubnitu jest niezwykle proste i w gospodarstwie domowem oddaje nadzwyczajne usługi: skraca pracę, zmniejsza koszt i ochrania bieliznę, przy stosowaniu jednak wymaga troszeczkę uwagi.

Wydawca: Józef Krobicki, ul Marszałkowska 125. Redaktor odpowiedzialny: Piotr Ambroziewicz.

Druk Piotra Ambroziewicza, Warszawa, Jasna 8.